

Andrzej Mazan

Ojcostwo dnia codziennego

Studia nad Rodziną 3/2 (5), 155-161

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej MAZAN

OJCOSTWO DNIA CODZIENNEGO

Pragnę podzielić się doświadczeniem mojego ojcostwa. Spośród wielu szczegółów, które wypełniają życie, trudno wybrać te najważniejsze, jeszcze trudniej wybrać klucz ich uporządkowania. Czym jest ojcostwo rozpatrywane z perspektywy ponad dwudziestu lat życia rodzinnego – rachunkiem sumienia, bilansem klęsk i zwycięstw, zbiorem porad praktycznych, ukryciem niepowodzeń, a może, dzisiejszym dziwnym obyczajem, wydobyciem ich na światło dzienne, usprawiedliwianiem się? A przecież żaden z tych z aspektów nie wyczerpuje tego, co się działo, co trwa i dojrzewa, a także tego, co pogłębia świadomość ojcostwa. Dlatego wybrałem formę świadectwa, krótkiej refleksji, która ukazuje drogę dotrzymywania wierności mojemu powołaniu.

1. Wstęp, czyli obrazek z życia

Trwają wakacje. Jest początek sierpnia. Wróciliśmy z rekolekcji rodzinnych w Wiselce, na pięknej wyspie Wolin, gdzie jeździmy niemal całą rodziną od 6 lat. Rekolekcje zmieniają swą formę z roku na rok, ale jeszcze bardziej zmieniamy się my, ucząc się Bożego spojrzenia na rzeczywistość i wierności Bożemu powołaniu. Nie wszyscy jeszcze wróciliśmy, żona z najmłodszą piątką dzieci (Kazik 17 lat, Marysia 13, Jaś 11, Dominik 5, Zosia 2) zatrzymała się bowiem u przyjaciół pod Olsztynem. To szczęście, że są tacy przyjaciele. W trakcie podróży zatrzymaliśmy się w Koszalinie, gdzie nas podejmowała moja mama, spotkaliśmy się także z siostrą i jej rodziną, odwiedziliśmy grób ojca, nawiedziliśmy sanktuarium Maryjne Sióstr Szentsztackich.

Zatrzymaliśmy się także w Gdańsku, gdzie spędziliśmy kilka godzin z przyjaciółmi – rodziną Michała i Hanki. On jest ojcem chrzestnym naszego najstarszego syna, ja – ich najstarszej córki. Jej chrzest utkwiał mocno w pamięci, odbył się bowiem w Gdańsku w niedzielę 13 grudnia 1981. Odnowiliśmy kontakty, które urwały się „ładnych kilka lat temu”. To było wspaniałe. Zaktualizowaliśmy „tematy rodzinne”, zasypaliśmy „dziurę czasu” i zaczęliśmy umawiać się na następne spotkanie.

Dzień podróży zamknęliśmy Apelem Jasnogórskim w sanktuarium Maryjnym w Gietrzwałdzie.

Zostawiwszy żonę i dzieci u olsztyńskich przyjaciół wróciłem do domu, gdzie zastałem Adama, studenta II roku teologii i historii sztuki ATK, oraz Natalię, „świeżo upieczoną” studentkę politologii, również ATK. Adam wrócił właśnie z tygodniowej wyprawy rowerowej po Beskidzie Niskim. Wcześniej, na przełomie czerwca i lipca był komandorem rejsu dla 40 uczestników, młodzieży licealnej z warszawskiego KIK-u. Pływali na starych omegach po Mazurach. Ten nasz najstarszy syn z trudem akceptuje drogę duchową, jaką odbywamy ze Wspólnotą Świętej Rodziny, i konsekwentnie odmawia uczestniczenia we wspólnej pielgrzymce wiary. Mamy jednak nadzieję, że w miarę duchowego dojrzewania doceni blask żywej wiary, która rozwija się przecież pomimo ludzkich słabości.

Natalia dwa dni wcześniej wróciła z Wisiełki, chcąc przygotować się do swojej drugiej pielgrzymki na Jasną Górę z niepełnosprawnymi. Właśnie odwiozłem ją do kościoła św. Józefa w Warszawie, skąd pielgrzymka wyrusza.

W domu tymczasem awaria pralki. Natalia włączyła pranie i zajęła się śniadaniem. Woda dopłynęła aż do kuchni. Dzieci wycierały wodę, czym tylko mogły – zużyły całą czystą pościel i wszystkie ręczniki, ale nie zapobiegło to zalaniu sąsiadów. Na szczęście straty u nich są nieznaczne. Trzeba naprawić pralkę. Razem z Adamem zdejmujemy osłonę i pokrywę. Pękł plastikowy zacisk na rurce doprowadzającej wodę. Druga rurka zaciśnięta jest drutem. Adam chce drutem zastąpić również i ten pęknięty zacisk. Wysyłam go do sklepu po metalowe opaski. Naprawimy porządnie, „tak jak należy”, oba dopływy wody. To tak właśnie wygląda „ojcostwo dnia codziennego”.

2. Model rodziny

Przechodząc do bardziej ogólnej refleksji nie sposób nie wymienić najważniejszej osoby kształtującej relację ojcostwa – mojej żony. Pisząc te słowa chcę złożyć jej hołd i oddać sprawiedliwość. Ona ukształtowała obyczajowość domu, jej tradycja weszła w nasz dom, ona wciąż kształtuje duchową i materialną jego przestrzeń. Jej miłość do mnie i dzieci, jej wierność, jej odpowiedzialność, uzupełnianie przez nią moich braków stanowi wkład w moje ojcostwo. W końcu to ona wnosi największy wkład w nasze wspólne rodzicielstwo. Chciałbym podkreślić najważniejszą cechę mojej żony, cechę kształtującą nasze rodzicielskie relacje. Jest to odwaga przyjmowania życia i jego obrony.

Przypominam sobie, jak na spotkaniu ze studentami SGH, spotkaniu na zaproponowany przez katolickie stowarzyszenie *Soli Deo* temat: „Rodzina rozwój czy zagrożenie”, powiedziałem, że moja żona była w sumie w ciąży przez 72 miesiące, to jest 6 lat. Dłużej niż trwają ich studia. To była dla nich wiadomość nie do zaakceptowania, albowiem dominujący dziś sposób pojmowania rodzicielstwa, macierzyństwa, ojcostwa nie zakłada już całkowitego oddania siebie. Droga zawodowa i domowa rozchodzą się i konkurują ze sobą. A przecież nie powiedziałem tym młodym ludziom o upokorzeniach dozna-

nych od lekarzy, przyjaciół, rodziny, o wielu radach „ludzi dobrej woli”, jak doprowadzić do tego, aby nie rodzić dzieci. Bo my mamy „nieprzyzwoitą” ilość dzieci. Dla współczesnego świata jesteśmy jak trędowaci.

Zawarliśmy małżeństwo jeszcze w trakcie studiów. Oboje byliśmy po czwartym roku – ja fizyki UJ, Maria malarstwa w ASP w Krakowie. Korzystając z pomocy rodziny żony zamieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu, kontynuując studia. Przyszedł czas porodu pierwszego dziecka. Niestety, nie byliśmy przygotowani do tego, by dziecko przyszło na świat w naszym domu. Żona z Tereską znalazła opiekę u rodziców w Warszawie, ja kończyłem studia w Krakowie. Po uzyskaniu dyplomu odbyłem wędrowkę z plecakiem w poszukiwaniu domu. Podjąłem pracę nauczyciela w beskidzkiej wsi, 60 km od Krakowa. Otrzymaliśmy służbowe 2-pokojowe mieszkanie: nowe budownictwo, to znaczy łazienka, woda, co. Trzyletni pobyt na wsi zaowocował szybkim dojrzewaniem odpowiedzialności i umocnieniem rodziny, dyplomem żony, narodzinami dwójki dzieci, przyjaźnią z sąsiadami, działalnością teatralną z dziećmi i dorosłymi. Stoczyliśmy zwycięski bój o usunięcie alkoholu z wiejskiego baru i sklepu¹, mieliśmy jedyną w gminie nauczycielską „Solidarność” oraz „Solidarność” rolników. Po trzech latach, w roku 1981, wróciliśmy do Warszawy, a ściślej mówiąc do Łomianek, gdzie otrzymaliśmy mieszkanie spółdzielcze. Podjąłem pracę w zespole szkół ogólnokształcących.

Najważniejszą dla nas sprawą stało się właściwe wychowanie i wykształcenie dzieci. Pojawił się problem, jak zneutralizować lub odrzucić wpływ komunizmu – niszczącego duchowo, relatywistycznego, wykorzeniającego i odrzucającego tradycję narodową. Oparciem była rodzina i Kościół oraz krąg przyjaciół. W czasie studiów obracaliśmy się wśród ludzi nastawionych antykomunistycznie, związanych z krakowskim dominikańskim duszpasterstwem akademickim. To środowisko pozwoliło na zachowanie czystego sumienia, na uczciwe podjęcie pracy, na wolny wybór drogi wierności Bogu i Kościołowi. Dlatego nie tylko wybraliśmy przyjmowanie dzieci, ale także przyjęliśmy za naczelną zasadę wychowawczą trwanie w domu matki wspomaganej możliwie najdłuższą obecnością ojca. Ten model w naszej rodzinie realizujemy do dziś. Co dzięki niemu osiągamy? Przede wszystkim ciągła obecność matki w domu porządkuje jego organizację i rytm, jak słońce porządkuje organizację świata. Ona chroni dom i nie pozwala, aby zło w jakiegokolwiek postaci znalazło trwałe miejsce w sercu dzieci. Ona w codziennych „gorących” rozmowach kształtuje sumienie dziecka. Porządek domu, w którym stałe staramy się towarzyszyć sobie nawzajem i dzieciom, nie wynika z apriorycznych założeń – został on wytworzony przez rozwój życia rodzinnego.

¹ Alkohol wrócił w nieograniczonych ilościach dopiero w połowie lat 90-tych

Lata osiemdziesiąte przyniosły narodziny kolejnej trójki. Najważniejszą sprawą było zapewnienie opieki nad – teraz już – szóstką dzieci. Pracą w domu musieli się dzielić oboje rodzice. Sprzyjała temu moja praca w szkole; nie dawała wysokich zarobków, ale umożliwiawała dłuższe przebywanie w domu oraz dodatkową pracę w postaci korepetycji, ułatwiała „kartkowe” zakupy, przypominające wówczas bardziej zbieractwo niż kupowanie. Muszę w tym miejscu podkreślić niezwykłą pomoc, jakiej doświadczyliśmy ze strony rodziców żony. Umożliwiła ona rozwój naszej rodziny i ratowała w razie „awarii”. Tej pomocy zaznaliśmy zresztą od wielu osób, najważniejsza jednak płynęła od naszych rodzin. Stan wojenny objawił solidarność rodzin niemieckich, francuskich, włoskich. Niektóre z przyjaźni zawiązanych w latach osiemdziesiątych trwają do dzisiaj.

Stanęliśmy przed wyborem szkoły dla naszych dzieci. Obecnie może już tego się nie pamięta, ale przecież wielu dyrektorów szkół w Polsce było funkcjonariuszami partyjnymi, a szkoła była najważniejszym „pasem transmisyjnym” ideologii materialistycznej, której służyły tysiące nauczycieli, a zwłaszcza nauczycielek, demoralizujących dzieci. Zagubiona kobiecość, zagubiona rodzinność, zagubiona prawda i moralność – taki był osobowy obraz szkoły. Ten upadek sumień nauczycieli nie odróżniających prawdy intelektualnej od prawdy moralnej trwa do dzisiaj i jest chyba największym nieszczęściem pozostawionym nam przez lata niewoli hitlerowsko-sowieckiej. Stanowi on fundament relatywizmu moralnego i hedonizmu oraz burzy podstawy życia rodzinnego, narodowego i państwowego.

Chcieliśmy obronić dzieci. Chcieliśmy im dać rzetelną wiedzę, chcieliśmy im stawiać wymagania i nie dopuścić do indoktrynacji. Na swej drodze spotkaliśmy siostry Niepokalanki i do ich przedszkola oddaliśmy czworo naszych dzieci. Przygotowały dzieci do I Komunii św. Dzieci w wieku szkolnym udało się umieścić w jednej z najlepszych szkół warszawskich. Pozostawała jeszcze sprawa środowiska koleżeńskiego. Nie chcieliśmy skazywać ich na dobieranie sobie kolegów spośród towarzystwa klasowego czy podwórkowego. Zgodnie z tradycją mojej żony weszliśmy do sekcji rodzin warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. To środowisko umożliwiło wytworzenie grup kolegów dla naszych dzieci, powodowało, że mogły systematycznie wyjeżdżać na ferie zimowe i wakacje z dziećmi z kręgu znanych nam rodzin. Sami organizowaliśmy wakacje tak, aby jak najwięcej czasu przebywać z dziećmi. Doświadczaliśmy przy tym współpracy i pomocy wielu wspaniałych osób. Trzeba powiedzieć, że warunki, w jakich spędzaliśmy wakacje, często dalekie były od normalnych. Ale nie one stanowiły o sensie spędzanego wspólnie czasu.

W okresie komunistycznym z życia domowego wyeliminowaliśmy telewizję. W radio słuchaliśmy wiadomości zagranicznych stacji, najczęściej przy myciu naczyń. Gazet nie kupowaliśmy. Mieliśmy dostęp do prasy nielegalnej i nielegalnych książek. W księgarniach wybieramy najczęściej książki histo-

ryczne i religijne. Czytanie dzieciom książek czy ich fragmentów stanowiło zawsze ważny czynnik wychowania. Z oficjalnych czasopism kupowaliśmy lub prenumerowaliśmy krakowską prasę katolicką: Tygodnik Powszechny, Znak, w mniejszym stopniu Więź, Solidarność. Później pojawiał się wznowiony Przegląd Katolicki, Powściągliwość i Praca, Królowa Apostołów, W Drodze, Przegląd Powszechny.

Po odzyskaniu wolności radość sprawiły rozgłośnie katolickie – Radio Maryja i Radio Józef. Z gazet pojawiają się Rzeczpospolita i Nasz Dziennik. Wprowadziliśmy znów telewizję do domu, ale szybko przekonaliśmy się, że wciąż pozostaje ona nośnikiem złej kultury. Jak dawniej więc wyeliminowaliśmy radiostacje niekatolickie, a także destrukcyjną telewizję.

Co zamiast przekazu „kultury państwowej” wnieśliśmy w wychowanie dzieci? Staraliśmy się powrócić do kultury prawdy, dobra i piękna, do kultury katolickiej i narodowej. Trzeba więc było uzupełnić wiadomości. Najpierw z historii, tak straszliwie zakłamaney, następnie, w latach stanu wojennego, przyszedł czas na uzupełnienie wiedzy teologicznej. 3 lata słuchałem wykładów w studium dla świeckich. Później nastąpiła długa przygoda z filozofią, studia eksternistyczne na KUL-u. Wieloletnie spotkania z prof. Mieczysławem Gogaczem, a później z prof. Stefanem Swieżawskim należały do największych przygód intelektualnych. To było ogromne szczęście spotkać ludzi wiernych Prawdzie najwyższej. Te spotkania były tak niezwykle, że zabierałem na nie swoje dzieci. Pamiętam wyjazd do Lublina na wykłady Tygodnia Filozoficznego, na który zabrałem żonę i najstarsze z dzieci – wtedy 15-letnią Teresę. Wykłady głosił między innymi o. prof. Albert Krapiec. Wszyscy wyszliśmy oczarowani – każdy czym innym. Ja treścią, żona językiem, córka niezrozumieniem i siedzeniem w auli KUL-u. Warto było ukazać jej nauczyciela, co tak po mistrzowsku wykłada.

Szlachetność spotykanych osób była i jest czynnikiem wyznaczającym priorytety wychowawcze. I tu nasza rodzina ma niebywałe szczęście. Najszlachetniejszą osobą, z jaką bowiem dane mi się było spotkać, jest moja żona. Jej uczciwość wewnętrzna jest cudownym darem. Wśród innych wspinających osób szczególnym darem jest mój śp. Teść, Kazimierz Sułowski, harcerz, adwokat, niezwykle życzliwy i zawsze dyskretnie pomocny.

Łaską było spotkanie takich księży, jak o. Jan Góra, dominikanin, Leon Knabit czy Adam Kozłowski – benedyktyni, stryj mój, a proboszcz wrocławski – Dominik Mazan, ks. prof. Marek Starowiejski, ks. Mirosław Jaworski, księża najbliżsi – Krzysztof Wolski, Wiesław Jankowski, Jarosław Szymczak.

Wśród tych którzy służą pomocą wychowawczą, należy wymienić także siostry Salezjanki i Niepokalanki, wychowawczynie naszych dzieci w przedszkolnym wieku, nasze „święte ciotki” zakonne – siostry Urszulanki, i niezakonne, służące swoją bezinteresowną pomocą. w końcu wymienić trzeba – najważniejsze przecież – nasze Mamy. Są to osoby wskazujące nam drogi praw-

dy i miłości, osoby wyznaczające kształty dróg naszej domowej miłości.

Te spotkania powodowały, że powoli, w ciągu wielu lat naszego małżeństwa, wrastaliśmy w Kościół, który w naszej strukturze domowej, dzięki uznaniu go za fundament życia osobistego, rodzinnego, społecznego, przemieniał się z Kościoła zewnętrznego w Kościół wewnętrzny, Kościół służby. To, że Bóg powierzył nam tyle dzieci, że je złożył w nasze ręce, jest nieustannym powodem wielkiej wdzięczności dla Ojca niebieskiego, dowodem Jego mocy. Jest nieustannym przynagleniem do odpowiedzialności za ich kształt duchowy. Za największą łaskę poczytuję sobie ich trwałe kontakty z Jezusem Eucharystycznym w sakramencie Pokuty i Komunii świętej. To stanowi mój, ojcowski, priorytet wychowawczy, wyznacznik takiego postępowania, takiego świadectwa w życiu rodzinnym i zawodowym, aby wzrastało ich świadome zaufanie do ojca i do Ojca Niebieskiego.

Należy w tym miejscu wspomnieć o wielkiej łasce czasu, w jakim przyszło realizować mi moje ojcostwo. Czas pontyfikatu Ojca Świętego i światło jego łaski. Dar jedyny w swoim rodzaju, niemalże niepojęty w swoim bogactwie. Dar, który został obdarzony miłością rodzinną, jak członek rodziny, dar do którego pielgrzymowaliśmy, kiedy tylko było można. Za który od początku składaliśmy Bogu dzięki, od 17 października 1978 r., od porannej w beskidzkiej wsi Mszy św., kiedy to całą drogę do kościoła przeplakałem jak bóbr, nie mogąc opanować wzruszenia i radości. Dar, ku któremu kierowaliśmy nasze życie, i ku któremu kierowaliśmy nasze dzieci od Mszy św. na Placu Zwycięstwa w roku 1979 do 13 czerwca roku 1999, kiedy to uczestniczyliśmy we Mszy św. beatyfikacyjnej całą rodziną, z dwuletnią Zosią i pięcioletnim Dominikiem. W świetle ojcostwa Ojca Świętego rola ojca nabiera jakiegoś niebywałego wymiaru. Ono kierowało nas z mocą ku Chrystusowi i Jego Matce, której na Jasnej Górze i w wielu innych sanktuariach poświęciliśmy naszą rodzinę i nasze trudności. A Matka przywiodła nas ku Wspólnocie Świętej Rodziny, ku spotkaniu z niezwykłym Ojcem Wspólnoty, księdzem arcybiskupem Kazimierzem Majdańskim, ku spotkaniu z Chrystusem w tajemnicy Nazaretańskiej Rodziny.

Podsumowanie

Na koniec tych refleksji pozwolę sobie przytoczyć jeszcze dwa doświadczenia budujące moje ojcostwo. Mogą one w jakimś sensie stanowić podsumowanie drogi wzrastania.

W 1993 pracowałem w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla młodzieży przewlekle chorej, w miejscowości położonej 40 km od Warszawy. Dziś ten ośrodek już nie istnieje. Spotkałem tam wspaniałych nauczycieli i lekarzy, w szczególności zaś, co poczytuję sobie za zaszczyt i dar niezwykły, pełną oddania i poświęcenia panią doktor Katarzynę Kujawską. W listopadowy wieczór, kiedy pełniłem nocny dyżur w Ośrodku, otrzymałem od niej przez telefon wia-

domość o tragicznym wypadku mojego 12-letniego syna. Przyjechałem do szpitala w Warszawie. Noc w szpitalnym korytarzu, rokowania lekarzy niedobre. Rano Msza św. i modlitwa przed wizerunkiem Matki Bożej Jazłowieckiej u sióstr Niepokalanek w Burakowie. Następne dni i tygodnie przyniosły modlitwę i niezwykłą pomoc oraz solidarność wielu ludzi. Trzy tygodnie przebywania syna na oddziale intensywnej terapii były dla nas trzema tygodniami nadziei wyrażającej się w trzymaniu bezwładnej ręki podłączonej do kroplówki, trzema tygodniami modlitwy. Później 2 miesiące pobytu syna na oddziale chirurgii, kolejne 3 miesiące rehabilitacji w ośrodku w Chylicach. W połowie czerwca 1991 r. Adam wrócił do szkoły i uzyskał promocję do VIII klasy.

Za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny, a przez Chrystusa doświadczyliśmy łaski przywrócenia daru życia ukochanemu dziecku. To doświadczenie uwarściło nas na dar istnienia dziecka, na dar istnienia osoby.

A oto inny obrazek. Rok 1998, wczesna jesień. Oczekujemy przyjścia na świat dziewiętego dziecka. Mówimy o tym dzieciom. Najstarsze przyjmują z niedowierzaniem, młodsze z akceptacją. Ustalamy, że ta sytuacja będzie wymagała szczególnej pomocy mamie. Modlitwa. Ale nie dane nam było radować się narodzinami tego dziecka. Któregoś listopadowego dnia żona poczuła się źle. Jedziemy do szpitala. Okazuje się, że dziecko już nie żyje. Trzeba urodzić martwe dwumiesięczne ciało i oddać je szpitalowi. Absolutna ciemność i samotność. Tylko matka i ojciec – świadkowie istnienia, które wybuchło, parło ku rozwojowi i zgasło. Żadnego pocieszenia, ciało dziecka wydane na pohąbienie. Nawet Kościół nie rejestruje jego zaistnienia. Pozostaje tylko nasza modlitwa, modlitwa matki i ojca, modlitwa rodziców, którzy wierzą, ufają w świętość istnienia tego dziecka. Czyż nie było w nim pragnienia Boga? Czyż nie było w nim pragnienia chrztu? Z Bożej mocy się poczęło, ku Bogu duszę skierowało, tylko ciała zabrakło.

I dlatego z głębi mego ojcostwa płynie prośba skierowana ku memu umiłowanemu Kościołowi o uznanie nienarodzonych za chrześcijan, za osoby odkupione krwią miłosiernego Zbawiciela.

Maryjo, Matko nawiedzająca Elżbietę, módl się za nimi.

Andrzej Mazan – Everyday Fatherhood

The author illustrates the topic of fatherhood in the form of a witness from the perspective of his over 20-year-long family life. In a short reflection he shows the way of being faithful to his calling to fatherhood.